

**ARTHUR CONAN DOYLE**

# **STALY PACJENT**

**THE RESIDENT PATIENT**

Był dżdżysty dzień wrześnieowy. Rolety w naszym pokoju do połowy zasłaniały okno. Holmes leżał zwinięty na kanapie i po raz kolejny odczytywał list, który otrzymał rano. Od upału prawie omdlewał. Ja czułem się znacznie rzeświejszy, a to dzięki mej kilkuletniej służbie w Indiach — przyzwyczailem się tam do jeszcze większej spiekoty. Gazeta, którą czytałem, była mało ciekawa — parlament miał wakacje. Znajomi się rozjechali, a mnie po prostu ciągnęło gdzieś do lasu czy nad morski brzeg. Sprawy finansowe tak się jednak ułożyły, że urzeczywistnienie tego marzenia musiałem odłożyć na przyszłość. Co się tyczy mego towarzysza, nie nęciły go ani las, ani woda; lubił leżeć u siebie w domu, czuć się częścią gwarnej pięciomilionowej ludności i rozwiązywać jakieś tajemnicze, zagmatwane sprawy. Umiłowanie przyrody było dlań rzeczą obcą; miasto opuszczał tylko wtedy, kiedy złoczyńca jako teren działania przekładał wieś nad miejskie mury.

Widząc, że Holmes nie kwapi się do rozmowy, odrzuciłem natrętą gazetę, wtuliłem się głębiej w fotel i dałem folgę myślom. Naraz obudził mnie z zadumy głos mego przyjaciela.

— Masz rację, Watsonie — rzekł — nierozsądnie jest w ten sposób załatwiać sprawy.

— Nierozsądnie! — zawołałem i aż wstałem z podziwu, tymi bowiem słowami wypowiedział głośno to, co myślałem w tej chwili po cichu.

— Cóż to takiego, mój drogi? Wiesz, to już przechodzi wszelkie granice wyobraźni. Holmes roześmiał się, widząc moje zdumienie.

— Czy pamiętasz? Niedawno czytałem ci jeden z utworów Poego, w którym subtelny obserwator i myśliciel śledził ruch myśli swego towarzysza, chociaż ów nie wypowiadał ich na głos. Śmiałeś się wtedy z tego i nazywałeś to fantazją literacką. A gdym ci oświadczył, iż zazwyczaj trzymam się tej samej zasady obserwacyjnej, zwątpiłeś w słuszność moich słów.

— Cóż znowu!

— Tak jest, Watsonie! Nie powiedziałeś mi tego otwarcie, lecz wyczytałem to wyraźnie z twoich oczu. Gdy spostrzegłem obecnie, że odrzuciłeś gazetę i pogrzyżyłeś się w zadumie, byłem wielce rad, że mogłem śledzić bieg twoich myśli i uwagą w porę dać ci dowód, że się nie chełpiłem bez podstaw.

Jednak to oświadczenie nie usatysfakcjonowało mnie w pełni.

— W utworze, który mi wówczas czytałeś — rzekłem — obserwator wyprowadził wnioski z czynności człowieka, któremu towarzyszył; o ile pamiętam, ów potknął się o stos kamieni, spojrzął do góry w gwiazdy itp. Ja zaś siedziałem całkiem bez ruchu w fotelu, skąd więc miałeś przesłanki do wniosków?

— Jesteś niesprawiedliwy względem siebie. Rysy twarzy wybornie zdradzają myśli człowieka, a ty pod tym względem jesteś okazem doskonałym.

— Chcesz przez to powiedzieć, że odgadłeś moje myśli z rysów i wyrazu twarzy?

— Nie inaczej; osobliwie zaś z wyrazu twych oczu. Prawdopodobnie sam już nie pamiętasz, o czym myślałeś na początku?

— Nie pamiętam, rzeczywiście.

— A więc ci powiem. Odrzuciwszy gazetę — a ruch ten, muszę ci powiedzieć, zwrócił moją uwagę i popchnął do obserwacji — siedziałeś z pół minuty, nie myśląc o niczym. Następnie twoje oczy zatrzymały się na wizerunku generała Gordona, który niedawno oprawiłeś w ramkę; wtedy rozpoczął się bieg myśli. Nie trwało to długo. Wkrótce spojrzaleś na wizerunek Henryka Beechera, który bez ramki stoi na książkach. Potem na ścianę i wyraźnie błysnęła ci w głowie myśl, że gdyby portret Beechera był w ramce, doskonale pasowałby na ścianie do portretu generała Gordona.

— Nadzwyczajnie! — wykrzyknąłem. — Dotychczas nie chybiłeś ani na jotę.

— Dotychczas trudno by nawet chybić. Następnie myśli twoje zwróciły się ku Beecherowi; wpatrzyłeś się uporczywie w jego wizerunek, jakby studiując te rysy; potem się zamyśliłeś.

Przypomniałeś sobie szczegóły z jego czynnego życia. Byłem pewny, że nie możesz sobie przypomnieć misji, jaką wziął na siebie podczas wojny domowej. Potem zauważyłem, że przestałeś patrzeć na portret; miałem podejrzenie, żeś się zamyślił o losach tej wojny. Twe usta zacisnęły się, oczy rozbliły — na pewno pomyślałeś o męstwie, jakie obie strony okazały w tej rozpaczliwej walce. Potem jednak twoja twarz posmutniała, pokiwałeś głową, przyszła ci na myśl cała bezsensowna strata ludzkich sił i energii. Ręka mimo woli spoczęła na twojej dawnej ranie, a ledwie dostrzegalny uśmiech zakwitł w kącikach ust. Dało mi to powód do myślenia, że ten sposób załatwiania problemów międzynarodowych wydał ci się absolutnie nierozsądny. Nie mogłem nie zgodzić się z tobą; rad jestem, że moje spostrzeżenia sprawdziły się w całości.

— Od a do z; są najzupełniej słuszne — rzekłem na to — i teraz muszę wyznaczyć ci otwarcie, że jestem wprost zbity z tropu twą przenikliwością.

— Cóż znowu! To drobiazg i nie byłbym nawet zaprzętał twojej uwagi, gdybyś parę dni temu nie powątpiewał w taką możliwość. No, ale zdaje się, że się nieco ochłodziło. Może byśmy się przeszli trochę?

Sprzyszykło mi się siedzieć w domu i chętnie zgodziłem się na przechadzkę. Chodziliśmy blisko trzy godziny po mieście, podczas których dowcipne uwagi Holmesa i jego dar spostrzegania rzeczy nowych i ciekawych budziły we mnie niekłamany zachwyt. Wróciliśmy koło dziesiątej wieczorem. Przed naszym domem stał powóz.

— Aha! widocznie jakiś doktor — zauważył Holmes — praktyka nowa, lecz dosyć już częsta. Przyjechał, zdaje się, po poradę do nas; dobrze, że na czas wróciliśmy. Byłem już dostatecznie obznajmiony z metodami Holmesa, mogłem bez trudu śledzić bieg jego myśli, toteż, obejrzawszy uważnie wnętrze karety, dostrzegłem w nim pudełko z narzędziami, na które padał blask latarni; dało to najwidoczniej Holmesowi podstawę do sformułowania powyższych uwag. Nasze oświetlone okna, informowały z kolei o wizycie i czekających na nas gościach. Co też mogło sprowadzić o tak późnej porze nieznanego kolegę — zastanawiałem się idąc po schodach z Holmesem.

Gdy weszliśmy, podszedł ku nam jegomość blady, wysokiego wzrostu, z jasnym zarostem. Mógł mieć lat trzydzieści kilka; chorowita cera i zmęczony wygląd wskazywały wyraźnie, iż miał burzliwą młodość. Ruchy i zachowanie się były skromne, a wąska biała ręka, którą wsparł na kominku, zdradzała raczej artystę niżli lekarza. Ubrany był skromnie, lecz wykwintnie; jedynie krawat urozmaicał barwną plamą całość obycia.

— Witam doktora — rzekł Holmes uprzejmie — rad jestem, że niedługo czekał pan na nas.

— Pytał pan o to stangreta? — zapytał zdziwiony.

— Skądże znowu! Poznałem to po świecy, która stoi na stole. Proszę, niech pan siada i powie, czym możemy służyć.

— Pozwolicie, panowie, że się im przedstawię: jestem doktor Percy Travellan, mieszkam na Brook Street 403.

— Czy to pan jest autorem rozprawy o nieznanym chorobach nerwowych? — zapytałem. Jego blada twarz splonęła radością na wieść, że znam jego pracę.

— Tak rzadko zdarza mi się coś usłyszeć o mojej pracy — rzekł.

— Wydawca zapewnia mnie, że książka źle się sprzedaje. Zapewne pan sam jest lekarzem?

— Tak. Jestem dymisjonowanym lekarzem wojskowym.

— Choroby nerwowe zawsze były moją specjalnością. Niestety, w życiu zazwyczaj najtrudniej poświęcić się temu, na co ma się szczególną ochotę. Nie ma to jednak nic do rzeczy, a wiem dobrze, panie Holmes, że pański czas jest drogi. Chodzi więc o to, że w moim domu na Brook Street dzieją się rzeczy nader dziwne, a dzisiaj do tego stopnia zmieniły się na gorsze, że postanowiłem przyjść do pana po radę.

Holmes usadowił się i zapalił fajkę.

— Słucham pana — rzekł — proszę, niech pan opowie ze wszystkimi szczegółami, co wywołuje pański niepokój.

— Mam właśnie pewne skrupuły — rzekł doktor Travellan — niektóre fakty są mało znaczące, aż wstyd mi je przytaczać. Ponieważ jednak cała sprawa przybrała nadto dziwny obrót i stała się dla mnie niezrozumiała, nie będę się wahał przedstawić najdrobniejszych szczegółów; sam pan oceni, czy są ważne, czy bez znaczenia.

Najpierw muszę zacząć od własnych losów. Skończyłem uniwersytet w Londynie i sądzę, że nie weźmiecie mi tego panowie za przechwałkę, gdy powiem, że profesorowie pokładali we mnie ogromne nadzieje. Po skończeniu nauk poświęciłem się licznym badaniom i mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że moja praca o patologii budziła w świecie naukowym wiele żywego zainteresowania. Do tej epoki zalicza się również moja praca z dziedziny nerwów, o której wspomniał kolega. Wszyscy mi wróżyli świetną przyszłość.

Niestety, na mojej drodze stanęła poważna przeszkoda — pusty portfel. Wiecie o tym panowie, że specjalista, pragnący zdobyć rozgłos i praktykę, musi się odpowiednio „urządzić”, tj. zamieszkać w odpowiedniej dzielnicy, sprawić meble, trzymać służbę etc. etc. Musi mieć także powóz i konie, nadto zasób pieniędzy na pierwszy okres, zanim zyska rozgłos. Na to wszystko nie miałem funduszków, mało tego, mogłem na nie liczyć dopiero po dziesięciu latach wielkich oszczędności. Naraz niespodziewanie odkryły się przede mną całkiem nowe widoki.

Stało się to w następujący sposób. Pewnego dnia zgłosił się do mnie jegomość, którego przedtem nie znałem, a który przedstawił mi się jako Blessington. Wszedłszy do mieszkania, od razu przystąpił do rzeczy.

— Czy pan Percy Travellan, który otrzymał niedawno wielką nagrodę konkursową za swoją pracę? — zapytał.

Skłoniłem się w odpowiedzi.

— Powiedz mi pan otwarcie — ciągnął dalej — leży to bowiem w pańskim interesie; czy jest pan równie taktowny jak uczony?

Musiałem roześmiać się na to dziwne pytanie.

— Przypuszczam, że w tym względzie nie jestem gorszy od innych — odrzekłem.

— No, a co się tyczy kieliszka, jakże tam?

— Ależ, panie! — oburzyłem się.

— Niech się pan nie gniewa! To są bardzo ważne dla mnie wiadomości. No, mając takie zalety, dlaczego nie ma pan praktyki? Wzruszyłem ramionami.

— No, dobrze — rzekł mój gość tonem uspokajającym. — Stara historia, wiemy o tym. Ma pan więcej w głowie, niż w kieszeni, oto wszystko, prawda? Co by pan jednak powiedział, gdybym pomógł panu urządzić się jak należy, chociażby tu, na Brook Street? Patrzyłem na niego ze zdumieniem.

— O, robię to jedynie dla swojej korzyści, nie dla pańskiej — rzekł.

— Będę z panem zupełnie szczery, jeżeli się pan zgodzi na moją propozycję, na pewno wyjdę na tym dobrze. Mam kilka zbywających tysięcy, dlaczego nie miałbym ich wykorzystać?

— Lecz w jaki sposób?

— Po prostu, wydałbym je na pana, by potem odzyskać z procentem; jest to spekulacja jak każda inna, przy tym niewątpliwie pewna.

— Cóż ja jednak muszę uczynić w tej sprawie?

— Wszystko panu powiem, proszę posłuchać. Znajdę lokal, umebluję go, najmę służbę i będęłożył na wszystkie pana potrzeby. Pan będzie przyjmował chorych, leczył, nic więcej. Będę nawet dawał kwoty na pańskie przyjemności. A za to wszystko pan mi będzie oddawał trzy

czwarte całego zarobku, jedną czwartą pozostawiając dla siebie. Taką oto propozycję złożył mi ów pan Blessington. Nie będę trudził panów opisem naszych pertraktacji i umów, powiem jedynie, że ostatecznym ich rezultatem było moje przeniesienie się nazajutrz do nowego lokalu, gdzie wszystko, tak jak rzekł, zostało urządzone. Sam też zamieszkał ze mną w charakterze „stałego pacjenta”. Miał wadę serca i widocznie potrzebował stałego dozoru lekarskiego. Zajął dwa najlepsze pokoje w lokalu, jeden na sypialnię, drugi na salon. Życie wiódł nadzwyczaj dziwaczne, unikał ludzi i nigdzie nie wychodził; tylko w jednej sprawie był niezmiernie akuratywny: każdego wieczoru, o tej samej porze zjawiał się w moim gabinecie. Przeglądał książkę rachunkową, oddawał mi czwartą część każdej gwiney, a resztę zanosił do swojego pokoju i chował do kasy pancernej.

Z całą pewnością mogę rzec, iż nie musiał żałować swojego pomysłu, związanego z moją osobą. Od samego początku zyskałem powodzenie. Kilka szczęśliwych przypadków i rozgłos, jaki im towarzyszył, wysunęły mnie od razu na czoło; w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki mnie, stałem się człowiekiem bogatym.

Opowiedziałem już panom całą moją przeszłość i mój stosunek do pana Blessingtona. Teraz pozostaje mi wyjaśnić, dlaczego zgłosiłem się dziś do pana, panie Holmes. Kilka dni temu zjawiał się u mnie Blessington niezmiernie wzburzony i poirytowany. Opowiedział mi o rabunku, jakiego dopuszczono się w dzielnicy West End. Był przerażony; twierdził, że zaraz nazajutrz każe sporządzić podwójne zasuwy do drzwi i okien naszego mieszkania. Przez cały tydzień był silnie podniecony, wciąż wyglądał przez okno, jakby kogoś z obawą wypatrując. Przestał nawet wychodzić na zwykły spacer, który odbywał przed obiadem. Widząc jego wzburzenie, wywnioskowałem, że boi się czegoś lub kogoś, kiedy jednak zagadnąłem go o to, tak się rozgniewał, że musiałem zaniechać dalszych pytań. Powoli, w miarę jak czas upływał, jego rozdrażnienie mijało, aż wreszcie wrócił do zwykłego trybu życia. Naraz zdarzył się wypadek, który wprawił go w rozpacz.

Było tak: dwa dni temu otrzymałem list. List był bez daty i bez podpisu. Brzmiał następująco: „Rosjanin szlacheckiego pochodzenia, aktualnie mieszkający w Anglii, pragnie zasięgnąć porady doktora Travellana, cierpi bowiem od wielu lat na ataki kataleptyczne, a w tej dziedzinie — jak wiadomo — doktor Travellan jest autorytetem. Jeśli nie robi to różnicy szanownemu doktorowi, pacjent zgłosi się jutro kwadrans po szóstej wieczór”.

List ten bardzo mnie zaciekał. Katalepsja zdarza się rzadko. Zrozumiałe, że o oznaczonej porze byłem w domu, czekając na pacjenta.

Był to niemłody już jegomość, szczupły, wysoki, wyglądu całkiem pospolitego. Natomiast jego towarzysz po prostu olśnił mnie swą powierzchownością. Proszę sobie wyobrazić młodzieńca, z niezmiernie piękną twarzą i z ciałem Herkulesa. Podtrzymywał chorego i pomógł mu dojść do krzesła, okazywał przy tym tyle tkliwości i słodyczy, że wprost nie licowało to z jego męską postawą.

— Niech pan wybaczy nam nasze najście, doktorze — rzekł po angielsku z ledwie dostrzegalnym obcym akcentem — ale to mój ojciec i bardzo się niepokoję jego stanem zdrowia. Byłem wprost wzruszony taką czułością.

— Może pan zechce być obecnym przy naszej konsultacji? — zapytałem go.

— Za nic na świecie! — wykrzyknął przestraszony. — Za wiele by to mnie kosztowało. Gdybym zobaczył kiedyś mego ojca w chwili ataku, ręczę, że tego bym nie przeżył. Moje nerwy i tak są już stargane. Jeżeli doktor pozwoli, poczekam w poczekalni. Naturalnie, zgodziłem się na to i młodzieniec wyszedł z pokoju.

Zająłem się szczegółowym badaniem chorego, robiąc rutynowe notatki. Nie odznaczał się wielką inteligencją i dawał czasami odpowiedzi niejasne, niedokładne, co zresztą kładłem na karb jego niezajomości języka.

Naraz przestał odpowiadać na moje pytania, wyprężył się na krześle i utkwiał we mnie nieruchomy, szklany wzrok. Oczywiście, zaczął się atak choroby.

Pierwszym mym uczuciem był strach i litość, drugim zawodowa satysfakcja, pasja. Zanotowałem tętno i ciepłość chorego, zbadałem jego skostniałe kończyny i wypróbowałem ich sprawność pod względem odruchów. W tym wypadku wszystko przebiegało podobnie jak w wielu innych, których byłem świadkiem. Stosowałem zawsze jeden, znakomicie działający środek. Butelka z lekarstwem była w mej pracowni na dole, zostawiłem więc chorego i zbiegłem na dół. Nie mogłem jej natychmiast znaleźć, upłynęło więc parę minut, zanim wróciłem na górę. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wszedłszy do gabinetu, nie znalazłem w nim chorego. Pokój był pusty.

Natychmiast wpadłem do poczekalni. Syn także zniknął. Drzwi do przedpokoju były przymknięte, lecz nie zatrzaśnięte. Niedawno przyjęty lokaj nie odznaczał się sprytem. Siedział zazwyczaj na dole i wezwany moim dzwonkiem przybywał, by odprawić chorego. Tym razem nic, jak powiada, nie słyszał; wypadek pozostał zagadką. Pan Blessington powrócił wkrótce z przechadzki, nic mu jednak nie wspomniałem o tajemniczym zdarzeniu — ostatnimi czasy starałem się mieć z nim jak najmniej do czynienia.

Myślałem, rzecz prosta, że już nigdy nie ujrzę mego pacjenta, ani jego syna, toteż proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy dzisiaj o tej samej porze ujrzałem ich obydwu, wchodzących do mego gabinetu.

— Muszę bardzo pana przeprosić, doktorze, za to raptowne zniknięcie — rozpoczął ojciec.

— Istotnie, wyznaję, że byłem bardzo zdziwiony — powiedziałem.

— Cała rzecz w tym, że kiedy wracam po ataku do przytomności, to nie pamiętam, co zdarzyło się wcześniej. Ocknąłem się naraz w nieznanym mi pokoju, jak we śnie wyszedłem z domu i znalazłem się, sam nie wiedząc kiedy, na ulicy.

— Ja zaś — wtrącił syn — widząc, że ojciec wychodzi od pana, mniemałem, że konsultacja skończona; pojechaliśmy więc do domu i dopiero tam wyjaśniło się to nieporozumienie.

— No, nic się złego nie stało — rzekłem śmiejąc się — chociaż wyznaję panom, że byłem wielce zdziwiony. Jeżeli pan sobie życzy, możemy obecnie kontynuować nasze badanie, wtedy tak niefortunnie przerwane.

Dobre pół godziny wypytywałem chorego aż wreszcie zapisałem mu lekarstwa i oddałem go pod opiekę syna; wyszli obydwaj, trzymając się pod ręce.

Mówiłem już panom, że o tej porze Blessington wychodzi zawsze na przechadzkę. Wkrótce po wyjściu tej pary powrócił i udał się do siebie na górę. Po minucie usłyszałem, że jak wariat pędzi po schodach wprost do mnie.

— Kto był w moim pokoju? — krzyczał, odchodząc prawie od zmysłów.

— Nikt — odrzekłem.

— Kłamstwo! Idź pan i zobacz!

Nie zwracałem uwagi na jego obelżywy ton, wiedziałem, że jest zgoła niepoczytalny. Gdy szliśmy na górę, pokazał mi wyraźne ślady na dywanie.

— To moje ślady według pana? — wrzeszczał jak opętany. Istotnie, nie mogły to być jego ślady; były na to za duże i za świeże. Jak panom wiadomo, dziś padał deszcz; oprócz chorego z synem nikt inny nie przychodził. Najwidoczniej młodzieniec ów, oczekujący w poczekalni, z niewiadomych mi powodów udał się na górę, gdy badałem jego ojca. Nic nie było ruszone, wszystko stało na swym miejscu, jednak pobyt obcej osoby nie budził wątpliwości. Pan

Blessington był tym tak wzburzony, że wprawił mnie w kłopot; prawdę powiedziawszy, każdy by się tym przejął. Siedział w fotelu i płakał spazmatycznie; z trudem udało mi się go uspokoić. Na jego nalegania przyszedłem do panów po radę, chociaż, mówiąc otwarcie, jestem zdania, że zanadto wyolbrzymia znaczenie tego wypadku. Jeżeli panowie udacie się ze mną, przynajmniej uspokoić go nieco, wątpię bowiem, czy uda się wyjaśnić to zagadkowe zdarzenie.

Holmes słuchał tego opowiadania z tak natężoną uwagą, że od razu spostrzegłem, iż rzecz ma dla niego niezwykłą wagę. Jego twarz, jak zawsze, była obojętna, powieki przysłoniły oczy, a z fajki sączył się coraz gęstszy dym. Gdy nasz gość skończył, Holmes powstał milcząc, wziął swój kapelusz, podał mi mój i wraz z doktorem Travellanem skierował się ku drzwiom.

Po kwadransie jazdy stanęliśmy przed domem na Brook Street. Wpuścił nas lokaj i po schodach, zasłanych kobiercami, udaliśmy się na górę.

W pół drogi zatrzymała nas raptowna przeszkoda. Światło na górze zgasło niespodziewanie i w ciemności rozległ się drżący głos:

— Rewolwer! Mam rewolwer! Daję słowo, że strzełę, jeśli się kto zbliży!

— No, tego już za wiele, panie Blessington — zawołał Travellan.

— Ach, to pan doktorze? — rzekł głos z widoczną ulgą — Ci panowie, którzy są z panem, kim są?

Czuliśmy, że w ciemności ktoś nas bacznie ogląda.

— Tak, teraz wszystko w porządku — ciągnął głos dalej — proszę panów, bardzo proszę! I przepraszam za niegościnne przyjęcie.

Zapalił światło na schodach i ujrzeliśmy przed sobą speszzonego człowieka. Był bardzo otyły, kiedyś chyba ważył jeszcze więcej, bo skóra zwisała mu na policzkach, cera była chorobliwie żółta, a rzadkie rude włosy jeżyły się na głowie ze strachu. W ręku trzymał rewolwer; na nasz widok schował go do kieszeni.

— Dobry wieczór, panie Holmes — rzekł. — Jestem panu niezmiernie zobowiązany, że zechciał pan przyjść. Potrzebna mi pańska rada. Doktor Travellan mówił już zapewne panom o tajemniczym najściu mego pokoju?

— A jakże, mówił — odrzekł Holmes. — Kim są ci dwaj panowie, panie Blessington, i dlaczego tak dokuczają panu?

— A czyja wiem! — odrzekł Blessington wzburzony.

— Chce pan powiedzieć, że nie zna powodów, dla których pana niepokoją?

— Bardzo proszę, niech panowie wejdą — tymi słowy wprowadził nas do sypialni, wielkiego i ładnie umeblowanego pokoju.

— Widzicie, panowie? O, tu! — rzekł, pokazując wielki czarny kufer w nogach łóżka. — Nigdy nie byłem tak bardzo bogaty, panie Holmes, może to zaświadczyć sam doktor Travellan. Nigdy też nie ufałem bankom. Wszystko, co mam, wyznaję to panom, mieści się w tym kufrze; rozumiecie więc, czym jest dla mnie przeświadczenie, że obcy człowiek podczas mej nieobecności zakradł się do pokoju!

Holmes spojrzał pytająco w twarz Blessingtona i pokiwał głową.

— Radzę panu nie wyprowadzać mnie w pole — rzekł.

Przecież wszystko panu powiedziałem.

Holmes z niezadowoloną miną odwrócił się.

— Dobrej nocy, doktorze — rzekł. — Jak to? Nie udzieli mi pan żadnej rady? — zapytał Blessington, a w jego głosie zabrzmiała nuta rozpaczy.

— Mogę udzielić jednej: mówić prawdę. W minutę po tym zajściu byliśmy już na ulicy.

Przeszliśmy całą Oxford Street, zanim usłyszałem słowo od mego towarzysza.

— Przepraszam cię, Watsonie, za fatygę z powodu tego cymbała — rzekł nareszcie. — Chociaż w gruncie rzeczy ta sprawa nie jest pozbawiona pewnej niepowszedniości.

— Nic a nic nie rozumiem — przyznałem się otwarcie.

— Chodzi o to, że dwóch czy może więcej ludzi pragnie się z jakichś im tylko znanych przyczyn dostać do Blessingtona. Nie wątpię o tym, że ów piękny młodzieniec za pierwszym i drugim razem bawił w pokoju Blessingtona, podczas gdy rzekomy ojciec pozostawał w gabinecie doktora.

— Ależ atak?

— Najzwyklejsze oszustwo, Watsonie, chociaż o tym nie napomknąłem naszemu specjaliście. Bardzo jest łatwo udać tę chorobę, sam nieraz to stosowałem.

— Cóż dalej?

— Traf zdarzył, że Blessingtona nie było w domu. Wybrali tę niepospolitą godzinę na poradę, żeby w poczekalni nie było nikogo prócz nich. Nie wiedzieli, że to także godzina spaceru Blessingtona. Gdyby planowali rabunek, plan by zrealizowali. Z oczu Blessingtona odczytuję, że drży o swoją skórę. Byłoby rzeczą nieprawdopodobną, gdyby ów człowiek miał takich dwóch wrogów i nic o tym nie wiedział. Dlatego utrzymuję, że wie, kim byli ci dwaj panowie i że ukrywa to z powodu jakichś brudnych sprawek. Jutro zapewne będzie wymowniejszy.

— A czy nie przypuszczasz jeszcze jednego? Czy nie może tak być, że cała ta historia z chorym Rosjaninem i jego synem została wymyślona przez doktora Travellana, który dla jakichś celów sam bawił w pokoju Blessingtona?

Przy blasku latami spostrzegłem, że Holmes uśmiechnął się pobłażliwie na to pytanie. — Mój drogi! — rzekł. — Też o tym pomyślałem, ale wkrótce przekonałem się o prawdziwości słów doktora. Tajemniczy młodzieniec pozostawił ślady zarówno na dywanie, jak i na schodach. Są to ślady butów z wąskimi nosami, podczas gdy Blessington nosi buty z nosami szerszymi, zaś buty doktora są o dobry cal dłuższe, tak że co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Obawiam się, iż jutro rano coś się stanie na Brook Street.

Wróżba Holmesa spełniła się w sposób najbardziej dramatyczny. O pół do ósmej stał już ubrany przy moim łóżku.

— Czekaj na nas powóz, Watsonie — rzekł.

— O co chodzi?

— Mamy jechać na Brook Street

— Czy się coś stało?

— Stało się coś — przypuszczam — bardzo tragicznego — rzekł, odsłaniając zasłonę.— Patrz, oto kawałek papieru, na nim słowa napisane ołówkiem: *Na miłość boską, niech pan przyjedzie jak najprędzej. P. T.* Widocznie doktor spieszył się bardzo, gdy to pisał. Jedźmy nie tracąc czasu.

W kwadrans byliśmy już u doktora; wyszedł do nas blady, z przerażoną twarzą.

— Okropność! — zawołał, trzęsąc się cały.

— Co się stało?

— Blessington odebrał sobie życie.

Holmes aż gwizdnął ze zdumienia.

— Powiesił się dzisiejszej nocy — dodał lekarz. Udaliśmy się za doktorem do poczekalni.

— Nie wiem po prostu, co robić! — powiedział, wciąż jeszcze roztrzęsionym głosem.

— Policja jest już na górze. Wszystko to ogromnie mną wstrząsnęło.

— Kiedy się pan o tym dowiedział?



— Zanoszono mu zawsze z rana filiżankę herbaty. Gdy służąca weszła o siódmej, zobaczyła go wiszącego na środku pokoju. Przywiązał sznurek do haka, na którym wisiała lampa, a potem zeskoczył z kufra, który nam wczoraj pokazywał.

Holmes stał chwilę, pogrążony głęboko w zadumie.

— Jeśli pan pozwoli — rzekł — pójdę na górę i zobaczę, co się święci.

Udaliśmy się obaj, prowadzeni przez doktora, do pokoju samobójcy. Gdy przestąpiliśmy próg sypialni, ujrzelśmy straszny widok. Mówiłem już, jak niekorzystne wrażenie sprawiał Blessington swą brzydota. Obecnie, gdy wisiał, wrażenie to spotęgowało się. Szyja wyciągnęła się jak u kurczęcia, całe ciało swą masą ciążyło ku dołowi. Miał na sobie jedynie nocną koszulę, spod której zwisały spuchnięte łydki i nieforemne nogi. Obok wisielca stał szykowny policjant i zapisywał coś w notesie.

— A! pan Holmes! — zawołał z uprzejmym szacunkiem — jakże się cieszę, że pana widzę.

— Witam, panie Lanner — odrzekł Holmes. — Mam nadzieję, że nie gniewa pana moja obecność. Czy już pan coś wie o wypadkach, poprzedzających to smutne wydarzenie?

— Tak jest, słyszałem coś niecoś o tym.

— Jakie jest pańskie zdanie?

— O ile mogę wnosić, człowiek ten pozbawił się życia ze strachu. Wieczorem położył się — jak pan widzi, łóżko zmięte. A nad ranem... — wie pan przecież, że największa liczba samobójstw przypada na godzinę piątą rano.

— Moim zdaniem — wtrąciłem się — człowiek ten zmarł trzy godziny temu, sądząc z zeszywnienia członków ciała.

— Czy znalazł pan coś szczególnego w pokoju? — zapytał Holmes.

— Na umywalni kilka śrub i klucz francuski. Odnalazłem także na kominku cztery niedopałki od cygar. Musiał widocznie wiele palić, zanim się położył. — Hm! — rzekł Holmes — czy pan widział jego cygarnicę?

— Widziałem, jest w kieszeni jego surduta. Holmes wziął etui, otworzył i powąchał cygaro.

— To jest cygaro hawańskie, a te niedopałki są od cygar innych, nader szczególnego gatunku. Duńczycy importują je z kolonii indyjskich. Zawinięte są zazwyczaj w słomę i cieńsze od innych. Holmes wziął cztery niedopałki, po czym obejrzał je uważnie.

— Dwa z nich były obcięte dosyć tępym nożem, dwa zaś odgryzione bardzo zdrowymi zębami.

To nie samobójstwo, panie Lanner, to bardzo zręcznie pomyślane i wykonane zabójstwo.

— Nie może być! — wykrzyknął policjant

— Dlaczego nie może być?

— Któż zabijałby człowieka w sposób tak skomplikowany jak powieszenie?

— Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć.

— Lecz jak weszli złoczyńcy?

— Przez drzwi frontowe.

— Dziś z rana były zamknięte.

— Zostały zatem zamknięte wczoraj, już po ich przybyciu.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Widziałem ich ślady. Za chwilę udzielę panu dalszych objaśnień.

Zbliżył się do drzwi i począł z właściwą mu uwagą oraz sumiennością oglądać zamek. Następnie wyjął klucz, który był włożony od wewnątrz i równie bacznie go obejrzał. W ten sam sposób poddał dalszym oględzinom: trupa i sznurek, na którym ten wisiał, pościel, łóżko, krzesła, kominek, aż orzekł nareszcie, że widział już wszystko, co było potrzebne. Potem przy naszej pomocy zdjął pętlę z wisielca i zwłoki położył na łóżku.

— No, a skąd sznur? — zapytał.

— Odcięty od tego zwoju — rzekł doktor Travellan, wyciągając spod łóżka linę. — Bał się ogromnie pożaru i zawsze miał sznur przy sobie, by w razie czego spuścić się przez okno, gdyby schody płonęły.

— To im zmniejszyło trud — rzekł Holmes. — Tak, najistotniejsze fakty są niewątpliwe i nie będę sobą, jeżeli do południa nie objaśnię panom reszty. Biorę z kominka fotografię Blessingtona, może mi się przydać przy moich poszukiwaniach.

— Ale przecież nic nam pan nie powiedział! — zawołał doktor.

— Otóż — rzekł Holmes. — Było trzech wykonawców tego zabójstwa: jeden młody, drugi stary i trzeci, o którym nic jeszcze nie wiem. Dwaj pierwsi — to rzekomy Rosjanin i jego syn, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Wspólnik ułatwił im wejście do tego pokoju. Jeżeli mogę panu służyć radą, panie Lanner, to niech pan natychmiast aresztuje lokaja, który, jeśli się nie mylę, służy tu od niedawna.

— Niestety, gagatek gdzieś przepadł i dotychczas nie można go znaleźć — rzekł doktor Travellan. — Pokojowa i kucharka szukają go wszędzie.

Holmes wzruszył ramionami.

— W całej tej sprawie odgrywał on rolę niepoślednią — rzeki. — Wszyscy trzej wchodzili na palcach po schodach: najpierw stary, potem młody, a na końcu ów trzeci.

— A to skąd wiesz? — zawołałem.

— Ależ to przecież drobiazg rozróżnić ich ślady. Jeszcze wczoraj wieczorem przestudiowałem je jak należy. Weszli tedy na schody i zbliżyli się do sypialni Blessingtona. Drzwi były zamknięte. Przy pomocy dłuta wyłamali zamek. Wszedłszy do pokoju, po pierwsze, prawdopodobnie natychmiast związali Blessingtona. On spał lub też został sparaliżowany strachem i nawet nie krzyknął. Ściany są grube, więc jego krzyku, być może, i tak by nie było słychać. Kiedy go już związali, prawdopodobnie zrobili coś w rodzaju narady. Być może był to swego rodzaju sąd. Ciągnął się dosyć długo, gdyż przez ten czas wypalili cztery cygara. Młody siedział, o, tam, i otrząsał popiół o róg komody; ów trzeci chodził tam i z powrotem po pokoju. Blessington siedział prawdopodobnie w łóżku, chociaż tego na pewno utrzymać nie mogę.

Skończyło się na tym, że wywlekli go z łóżka i powiesili. Widocznie zaopatrzyli się na wszelki wypadek w rodzaj bloku czy w coś podobnego, żeby móc urządzić szubienicę, przy tym śruby i klucz do wkręcania miały służyć jako narzędzia; zobaczywszy jednak hak, przestali na nim. Zrobiwszy swoje, wyszli po cichu, a wspólnik zamknął za nimi drzwi. Z wielką uwagą wysłuchaliśmy wszyscy precyzyjnej relacji Holmesa co do zachowania się złoczyńców podczas tej nocy. Relacji utkanej z tak drobnych włókien, że kiedy nawet je wskazywał, ledwie dało się je dojrzeć. Policjant w tej chwili udał się na poszukiwanie lokaja, a Holmes wraz ze mną wrócił na Baker Street, żeby zjeść śniadanie.

— Będę o trzeciej — rzekł, kiedyśmy już wstali od stołu. — Lanner i doktor mają mnie o tej porze oczekiwać; mam nadzieję, że uda mi się wyjaśnić resztę, która jeszcze stanowi niewiadomą. Punktualnie o trzeciej stawili się doktor i komisarz Lanner, Holmes jednakże przyszedł dopiero kwadrans później. Z wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że sprawa została wyjaśniona.

— Cóż tam nowego, panie Lanner?

— Złapaliśmy lokaja.

— Wybornie! A ja złapałem jego wspólników.

— Jak to? — wykrzyknęliśmy wszyscy razem.

— Tak jest, a przynajmniej dowiedziałem się, kim są. Ten, który się nazywał Blessington, jest dobrze znany tajnej policji; podobnie jego zabójcy. Nazywają się kolejno: Biddles, Hayward i Moffat.

— Co? — wykrzyknął Lanner: — słynna szajka ze sprawy banku Worthingtona?

— We własnych osobach — odrzekł Holmes.

— Zatem Blessington to nikt inny jak Sutton?

— Tak jest — potwierdził Holmes.

— Teraz wszystko już rozumiem — rzekł Lanner.

Travellan i ja słuchaliśmy, nic nie rozumiejąc z tych kronik policyjnych.

— Pamiętacie prawdopodobnie, panowie, głośną sprawę worthingtońskiego banku — począł Holmes — do której należało pięciu złoczyńców; piąty zwał się Cartwright. Zabili strażnika Tobina, a potem uciekli z siedmioma tysiącami funtów. To było w roku 1875. Aresztowano wszystkich pięciu, lecz nie można było przedstawić im wyraźnych dowodów. Blessington czy Sutton, jak chcecie, najpodlejszy z całej szajki, zdradził wtedy kolegów. Dzięki niemu Cartwright został powieszony, a trzech pozostali skazani na piętnaście lat ciężkich robót. Gdy już odzyskali wolność, zaczęli natychmiast szukać zdrajcy; znalazłszy go, pomścili śmierć przyjaciela. Czy jeszcze pan chce jakichś wyjaśnień, doktorze?

— Zdaje się, że już wszystko nam pan wyjaśnił — rzekł doktor. — Prawdopodobnie tego dnia, kiedy był tak wzburzony, musiał przeczytać o uwolnieniu swoich przyjaciół!

— Prawdopodobnie, a obawa rabunku była zasłoną dymną.

— Dlaczego jednak nie powiedział panu całej prawdy?

— Nie chciał zdradzić swego prawdziwego nazwiska. Tajemnica była tak haniebna, że nie miał odwagi jej wyjawić.

Oto są przygody, związane z osobą „stałego pacjenta” i doktora z Brook Street. Od tego czasu nikt nie słyszał o zabójcach Suttona; są jednak podstawy, aby przypuszczać, że byli oni pasażerami statku „Norah Creina”, który zatonął u brzegów Portugalii, kilka mil na północ od Oporto. Nikt się nie uratował.

Co się tyczy lokaja, to ponieważ poszlaki przeciw niemu były niedostateczne, w krótkim czasie został wypuszczony na wolność.